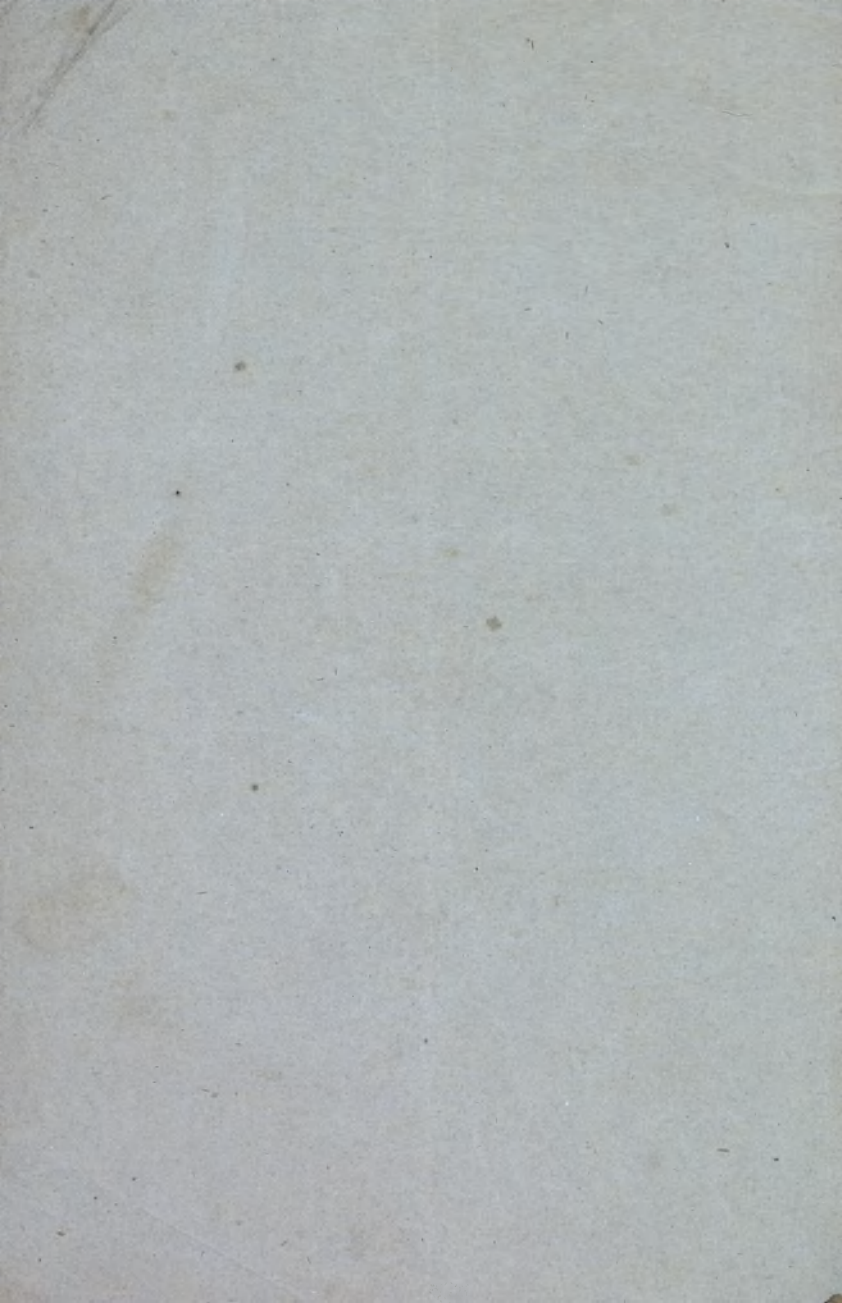


254054

I

BRANKA.



BRANKA.



BRANKA

PRZEZ

T. LENARTOWICZA.

Kto siał w płaczu żnie w radości,
Nasza siew była w gorzkości....
(PS.) Jan Kochanowski.

Non e questo'l terren ch'i toccai pria?
Non e questo'l mio nido,
Ove nudrito fui sì dolcemente?
Non e questa la patria in ch'io mi fido,
Madre benigna e pia....
Petrarca.

POZNAŃ.

NAKŁADEM KSIĘGARNI JANA KONST. ŻUPAŃSKIEGO.

1867.

3860/62

L912h

254054

I

Guziakiewicz Inna

K-ce. ul. Stowackiego 41/43

22.3.1962 r.

15.-21,

E2



Czcionkami A. Schmädickego w Poznaniu.

S
Stoi karczma na gościncu, podwaliny pod nią,
Czerwienieje na wiatr niebo nad stroną zachodnią.
Na pagórkach drzemią w dali pochylone chaty,
Wiatr po niebie chmurki nosi, gdyby krwawe szmaty.
Od topoli nadwiślańskiej woń jesienna wieje,
Na gałęziach liść ostatni w powiewach się chwieje.
Oj trzyma się listek drzewa, pokąd może trzyma,
Aż zamiecie nim po świecie niezblągana zima.

Przed karczmisskiem na kamieniu usiadło dziadosko,
Zadumał się lirnik stary nad rodzinną wioską.
Każdy kamień mu znajomy nad polem, nad smugiem,
Przy tym gadał, na tym siadał, o ów trącił pługiem.
Czas przeleciał niewstrzymany, popsuł, poodmieniał,
Lirnik zsiwiał poterany, kamień pozieleniał.

Żóraw wisi jak przed laty, zagląda do studni,
Jeno konik upragniony zdala niezadudni,
Ani furknie chorągiewka, hułan nie przeleci,
Hułan śmiały, konik biały, pociecha dla dzieci.
Depcą woły czarną rolę na jesienne siewy,
Chłodne wody stoją w dole od nocnej ulewy.
Co powieje wiatr zachodni, drobne fale zbiera,
Co zaskrzypi topól stara, oczy dziad otwiera.
Po łachmanach wiatr powieje, dziada przejdą dreszcze,
Oj wy piękne dni majowe! ujrzeż ja was jeszcze?

Zaszło słońce nad lasami, jak ta stara grusza,
Co samotna stoi w polu, jak sieroca dusza.
Poszarzały siwe wzgórki, mgły się gęste kłębią,
Przelatują zimne wiatry, co po kościach ziebią.
Idą ludzie do karczmarki w zimie, czy w jesieni,
Czapka na bok przewieszona a ręce w kieszeni.
Wesołemu to na ucho, smutnemu na oczy,
Smutki garną się na głowę, czapka je przytłoczy
A gdy troski się podzieją, przejdzie zawierucha,
Czapka chadza wnet koleją od ucha do ucha.

Za stołami siedzą starzy i coś sobie rają,
Powiadają sobie ludzie, co na sercu mają.
Temu ciężą stare lata, radby się odmłodzić,

Chciałby chodzić po dawnemu, nogi niechcą chodzić.
Tego bieda przydybała, sroga, sucha jęzda,
Osiodłała gospodarza, nogami popędza.
Na frasunek dobry trunek, dobra kapka miodku,
Nie głęboka kwatereczka a tonie na spodku.
Jeden z drugim rzędem długim a dziad u ogniska
Zapatrzył się w suche drzewo, co iskrami pryska.
Grzeje zęby dziadowina i kościaste dłonie,
Włos rozwiany, potargany, gdyby gniazdo wronie.
Pieś wychudła, szmat od szczudła, jak pakuły broda,
Rozsiada się dziad u ognia jakby wojewoda.
Z pod brwi gęstěj, połysk częsty z szarych oczu strzela,
Ciepłem piwskim i ogniskiem starość rozwesela.
Lira jego koło niego, co ją rady kręci,
Stare pieśni narodowe w sercu i w pamięci.
Często za nie pokutował po moskiewskich kozach,
Lecz on pieśni umiłował za młodu w obozach.
I skorupka trąci stara czem z młodu nasięknie,
Obróci się dziad dokoła, po dawnemu brzęknie.
Czy k' Warszawie ściąga żwawie, czy na step podolski,
Śpiewa stary litanije do Królowej Polskiej. —
A skądże to dziadku droga?... z Polski, z Litwy, z Rusi.
Kęś po świecie duch się miecie, to i człowiek musi.
Głuchym jarem, w polu szarem schadzam długie drogi,
Utraciłem w polu nogę, szukam moiej nogi,

Oderwała mi ją kula przy samem kolanie,
Została się na zasianie na ojczystym łanie.
Nieżałuję mojej nogi, co ją krucy koła,
Nieżałuję ran po ciele, co mię na deszcz boła.
Jeno tego człeku smutno, że niema szczerości,
Jak się spojrzę po Ojczyźnie, zamróz idzie w kości.
A złe szepce, wkoło depce, choć się człowiek broni,
Dawniej była dłoń na sercu i serce na dłoni,
Dziś oczami pono z łzami pocziwość wyciekła,
Albo słudzy, albo cudzy, albo rodem z piekła.
Chcesz pokręcić swoją lirę, to jak wilk cię zmierzy,
A dziad grzeszny myśli sobie, może i niewierzy.
Dużo niemców naściagało, niemce cudzoziemce,
Może nasze polaczyska poszyły się w niemce.
Katarynki przygrywają od Czerska do Warki,
Po karczmach się rozsiadają niemieckie karczmarki.
Jeno ptaki przyśpiewują po dawnemu w lesie,
Jeno chmury przelatują po dalekim kresie.
To i lepiej stare oczy powłóczyć po piasku,
To i lepiej słuchać wichru i wroniego wrzasku.
Rzekł i spuścił siwą głowę a kościstą rękę
Oplecioną na sakłaku podsunął pod szczękę,
I to wąsem ruszył siwym, to brwiami nad czołem,
W kątach starzy pospodarze wzdychali za stołem.
I było tak dobrą chwilę, dziad jak siadł tak siedzi,

Wpatrzył oczy w swoich ludzi, czeka odpowiedzi.
I byłoby o czem gadać! słówka w język szczypią,
Aleć oto do karczmyska stare drzwi zaskrzypią,
I wsunęło się dziewczątko, wicher tem szamotał,
Blade usta się ruszały, każdy ząb dygotał.
Z pod płachciny dwie ręczyny czerwone jak raki,
A kto w Polsce nie nadybał sieroteńki takiej?
Za gąskami pędzą w pole, gąska szczypie trawę,
A dziecina na mogiłki syła oczy łzawe.
Bose nogi, koło drogi siedzi sobie z witką,
A od wiatru się powija, jak to boże żytko.
Weszło dziewczę do gospody, przystaneło w kątku,
Dobre oczy, ludzkie oczy patrzą po dziewczątku.
Jaki taki patrzy na nią, nikt się nie poźali,
Świsnie piórkiem jaskółeczka i polecą dalej.
Tak i ludzkie dobre chęci... jaskółki nad stawem,
A biednemu żyćby trzeba! jeno jakim prawem?...

Postąpiło do ogniska grzać te ręce małe,
I te nogi powilżone, zziębłe, pograbiące.
Biedne dziecko! miły Boże, wśród wiejskiego tłumu
Śmiało się to do każdego... niespełna rozumu,
Bo co się tu śmiać do ludzi, co wiciny plotą,
Nie śmiejże się do nikogo sieroto, sieroto!

Ej nie tacy znowu ludzie a do tego prości,
To daj Boże ubogiemu do ubogich w gości.

Zahukane, zabiedzone, sieroco, nieśmiele
Biedne dziecko po rekrucie siadło na popiele,
I poczęło śpiewać głośno przecierając czoło,
Piosnkę strasznie niewesołą, na nótę wesołą:
Oj pogonia ich pogonia z powrozem na szyi,
Już im więcej niezadzwonią dzwony Kołomyi.

Jak to sobie przypomina niedolę ojcową,
Wtrącił słówko Szymek leśnik potrząsając głową.
Jak jagniaki odsadzone ubogie dziecięta,
Niczego to nierozumie, a wszystko pamięta.
Popędzili ojca z chaty, będzie rok na gody,
Na nic mu się nieprzydały dowody, wywody,
Matka roku nie pożyła, takie to roboty,
Matki niema, ojca niema, bieda na sieroty.
Przytuli się do matuli a matulka chłodna,
Wstańże rychło, matko miła, bo sierotka głodna...
Jedna bieda, druga bieda, złe do oczu skacze,
Kto przepłacze swoją biedę, a kto nie przepłacze,
Temu sciecze łza po oku, temu serce gniecie,
A niedola z cicha gwarzy: oj bieda na świecie.

Wyciągało dziewczę małe, jak dzwonek w ustroni,
Co choć dzwoni nad smętarzem, sam niewie co dzwoni.
A ludzie się przyciszyli zasluchani cali,
Jak to ona sieroténka śpiewając się żali.
I śpiewało, tak śpiewało, aż huk jakby młotu
Rozleciał się po chałupie podobny do grzmotu.
Czarny kowal wyciął w deskę aż we dwoje pękła,
I dziadowska lira stara echem odebrzękła.
Wszystkich oczy się zwróciły, żebrak okiem błysnął,
Łzy mu darły się do oczu, płacz zębami ścisnął,
I potoczył się do stoła zajrzeć w oczy człecze,
Rękę oparł na kowalu i Bóg zapłać! rzecze.
Hej kowalu, ty kowalu, niech wam Pan Bóg szczęści,
Przypomniałeś mnie dziadowi grzmot krakowskiej pięści,
Raclawice, Koślenice, Końskie i Dubienkę.
Nie po leku grzmisz człowieku, podajże mi rękę.

Na dziadowskie powiadanie, jakby trusia cicha,
Posunęła się ku dziadu matka kowalicha.
Zmiłujcie się przyjacielu, nie gadajcie o tem,
Bo chłoposko moje, człeku, nie żartuje z młotem.
Nieżartuje, kowal krzyknie: gospodarzu wódki!
Co się myśli, to się myśli, a gęby na kłódki,
Bo to teraz szpiegi chodzą w dziadowskiej opończy,
Chroń cię Boże, stary dziadu, bo się źle zakończy.

Wytrzęsę ci twoją duszę, jak wróbla z pod strzechy.
Spojrzał kowal po chałupie, rozległy się śmiechy.
Zaśmiała się karczma cała i dziad śmiał się z niemi,
A rękawem łzy ocierał siedzący na ziemi.
Własna krzywda nieboląła, głupie ludzkie gadki,
A cała się dusza śmiała, jak na rękach matki.
Za wesołych parobczaków dziad pacierze szeptał,
Śmiał się, cieszył, jakby pole Raławickie deptał.
Zgadnijże tu, co zabol, a co rozraduje;
Jeden człowiek swoje czuje, drugi cudze czuje,
Ha dogryliżm dziadowinie, kwatereczka sucha,
Jak poczuje, posmakuje, to się udobrucha.
Smaruj piersi, miły człecze, tym syconym miodem,
Stary miodek pachnie lipą, piwko pachnie słodem.
Nie taki to kowal srogi, choć dmucha jak z miecha.
Hej! dziadoro wstań na nogi, zaśmiała się strzecha.
Dziad wyciągnął dłoń do góry, chciał się dźwignąć duchem,
Kowal patrzył opasany skórzanym fartuchem,
Raz na dziada, raz na dziecko, na te polskie biedy,
Za serce go coś porwało, sam niewiedział kiedy,
Bo i żebrak śmiał się k' niemu i sierotka pięknie,
A tu serce kowalowe, jakby w ogniu mięknie.
Zadumał się smoluch wiejski i zapomniał słowa,
Z silnej ręki mu wypadła ukuta podkova.
Podniósł, westchnął, otrząsł głowę, jakby od szerszeni,

Aż tu gwary wiejskich dzieci rozległy się w sieni.
Za oknami drobiuchnemi, co ogniem zerkają,
Czepiają się małe dziatki, w okna zaglądały.
Pokrzykują przed chałupą głosy dziatwy trwożne,
Ćwierku, ćwierku pod oknami, jako wróble drożne.
Z za chałupy dolatały od gościńca krzyki,
Końskich kopyt kłopotanie i skrzypienie bryki —
Dolatały głosy z dala, jakby ludzkie jęki,
Jakby świstał bat, co wisi u kozackiej ręki.
A czyjeż to kmiece plecy ruski bat nie kroił?
Dziad w kowala bystre oczy jak pazury wpoił,
Szukał, macał w koło siebie na prawo, na lewo,
A gdzie moja druga noga? oj drzewoż to drzewo.
Kowal wejrzał naokoło, jakby ludzi zgarniał,
Będzie ja tu z wami siedział, bodajżem ja zmarniał!
Rzekł i we drzwi kopnął nogą, aż odpadła glina,
Czy też jeszcze się pocieszy stary dziadowina?...

Ludzie z karczmy się ruszyli, żal za serce imie,
A sierota przy ognisku na pół widna w dymie,
Z zapadniętem, ciemnem okiem, potarganym włosom,
Zaspiewała swą piosenkę przychrzypniętym głosem:
Oj pogonia ich pogonia z powrozem na szyi,
Już im więcej niezadzwonia dzwony Kołomyi.
Dziad opuścił siwą głowę, lirę precz odrzucił,

Jak gdyby się z oną lirą po pijanu kłócił.
Po chałupie niema głusza w ciemnych kątach siada,
Jeno w cieniu w uciszeniu polska nędza biada.
Rozpacz ściska stare kości, do ziemi je wtłacza,
W grób się toczy stara nędza; młodość nie rozpacza.
Niech się święcą młode lata, parobczańskie dłonie,
Rosną dęby na wygonie, polecimy po nie.

Zrozumieli młodzi ludzie dziada powsinogę,
I w cichości z ciekawości wybiegli na drogę.
A dziad gwarzył sam ze sobą: zapomnieli brata,
A gdzie moja ludzie noga — Bednarczyków chata?
Bednarczyków, podchwyciła niewiasta z zapiecka,
Może Staśka Bednarczyka? znałam go od dziecka.
Tak prawiała matka stara, żołnierz nieuważał,
Nędza stara; młodość wiara, do siebie powtarzał.
Ażeć naraz, cicho! krzyknął, uchem głos załowił,
Na gościńcu krzyk daleki starego odnowił.
Rzeżko dźwignął się na nodze pprzyprawionej z drzewa,
Ptaszek słucha na gałęzi, zkąd mu wiatr powiewa.
Wieje wietrzyk od rodziny, od gniazda od dzieci,
To zaśpiewa sobie ptaszek, wesoło poleci.

Na gościńcuż bo zawrzało, wzięli ich w obroty,
Puścił kowal srogie pięści, kowalskie dwa młoty,

Za kowalem parobczaki, a choć chmurna nocka,
Sprawnie grzmiała pod karczmiskiem narodowa młocka.
Była wrzawa, bójka krwawa skończyła się rychło;
Wyjrzał stary przed chałupę, wszystko już przycichło.
Tylko w dali, ku lasowi, po szerokiem błoniu,
Ku granicy człek pomykał na kozackim koniu,
Jeno jeszcze ludzkie głosy słyszeć było zdala,
Parobczaków głucho gwary i kłatwę kowala.

Hej nie bięda żołnierzowi, kiedy w bęben grzmocą,
Nie pocieszył Pan Bóg dzionkiem, to pocieszył nocą.
Wszedł w gospodę, musnął brodę, utkwiał kij sękaty,
I zawołał na sierotę stojąc w progu chaty:
Pójdź sieroto na wędrówkę, będziesz dziada wodzić,
Pójdź sieroto, po ojczyźnie będziemy razem chodzić. —
I dziewczątko się ruszyło przywykłe gdy każą,
Popatrzyło się na dziada miłosierną twarzą,
I jak gdyby w starca głosie brzęknął głos matczyny,
Jako ptaszek do odlotu podniosła rączyny.

Szczęść wam Boże, szczęść wam Boże, brzękło od polepy,
Dla dziewczyny, sierociny, słówko baby ślepej;
Deszcz się puścił, jakby z cewki, gęsta éma na drodze,
Bieda rusza, wiatr przygłusza, szczęść Boże, szczęść Boże!

Znaną ścieżką, przez zagony, ku drodze dalekiej
Idą, idą dwie sieroty brzegiem szumnej rzeki.
A w karczemce opuszczonej przed chłodnym popiołem
Szepce stara pacierz cichy z pochylonem czołem;
Szumią wierzby na gościńcu, szumi wiatr jesienny,
I ze ściany zadymionej ćwierka świerszczyk ścienny.

II.

Szybko leci rok po roku jako liście z drzewa,
Owo śliczny ogródeczek a w nim cudna dziewa.
Sukieneczka na niej biała ubrana we wstążki,
Chodzi sobie po ogródku czytająca z książki.
Lica białe, rączki małe, włos jako len czysty,
Na jej główkę rzuca słońce ten promień złocisty.
One usta uśmiechnione, jak niebo w zaranie,
I chodzi to po ogródku takie to kochanie.
Róża biała aż się prosi do dziewczęcej ręki,
Co gdy słodko się rozśmieję, robią jej się wdzięki.
Coś to niby jak znajoma, gdy się patrzy w ciebie,
Zdaje ci się żeś ją widział, ale chyba w niebie.
Zorze pada, nad łąkami czyste niebo gorze,
Halka zorzę pobierała, okryła się w zorze,
Boć to nasza Halka miła, sierota rekruta
Przygarnięta w pańskim dworze rośnie jakby ruta.
Przygarnęli dobrzy ludzie sierotę ubogą,

A dziś jęć się nadziwować, nachwalić nie mogą.
Cztery lata ją zmieniły do nierozpoznania,
Wypiękniała, wybielała , wyrosła jak łania,
I ślicznie jęć w białej sukni i we wstążek pąsie,
A sierockie, biedne czasy ledwie w snach jęć śnią się.
Pożywienie temu niosą, jak ptaku do dzióbka,
I któżby się tam domyślił, że to biedna chłopka.

Dziś od rana kwiatki siała w swój zagrodzie małej,
Od tej strony mak czerwony, żeby dzieci spały,
Piwoniją od kąpieli, a chmielu pod płotek,
Krwawnik od ran dolegliwych, od piorunu grzmotek,
Siała żwawo pochyłona nad zielen zagonu,
Dla pszczoł ziółka melisowe, konopie dla plonu,
I niechętek dla niechętnych na dziewiczy wianek,
Boży-głędek, Boży-listek i niepokalanek,
I serdecznik, bogorośle i śliczne ostróżki,
A dla ptaków ptasi język i bocianie nóżki.
Siała sobie w ogródeczku w ten poranek złoty,
Suche wrzosa na ból suchy, i chebt na suchoty;
Wonne zioła rozmaite na różne pożytki,
Słoneczniki na ziarenka, trawki aksamitki,
A każdemu kwiateczkowi rzekła mało-wiele,
Rośnijże mi teraz kwiatku, rośnijże mi ziele.

Mgły jak morze na dolinie jak świat się rozlały,
Las ponury we mgle ginie, pełno rosy białej,
Napozone stoją zioła od nocnej wilgoci,
Wietrzyk chłodny, dzień pogodny szybki w oknach złoci.

Do Jasienka, do okienka lecą złote gońce,
Patrzy w okno sierotę ciekawa jak słońce.
Ej że też to młodzież nasza taka nie wesoła,
Posepnego zawdy lica, pochmurnego czoła;
Zadumana, zasepiona, zawdy coś przemyśla,
Jak te wierzby rozpuszczone na piaskach Powiśla;
A Bóg ich tam wiedzieć raczy, co w ich sercu leży,
Prędzej z wierzbą się dogada niż z którym z młodzieży.
Takie to już przyszły czasy, że młódź spoważniała,
Nie powiedzą o młodzieży, że wiek przehułała,
Bo dziś przyszła na ostatki, prawdziwe ostatki,
Bo dziś walą saneczkami, ale do Kamczatki.
Młodzian siedział przy stoliku, pióreczko miał w dłoni,
Przed nim mapa polskiej ziemi a on wodził po niej.
Wszystkie miasta naznaczone na jednym papierze,
Zkąd się też to człowiekowi taki rozum bierze?...
Patrzył, mierzył, rozpatrywał swoją mapę znaną,
Aż Halusia zawołała: Panicz wstał tak rano,
Może całą noc przesiedział, jak to czasem bywa,
Choć się pani matulenka na panicza gniewa;

Młodzian podniósł w górę czoło, uśmiechnął się słodko,
Ha dzień dobry jaskółeczko, pójdźno sam szczebiotko.
Musim sobie przepowiedzieć o czem było wczora,
Wczora główka cię bolała, dziśes już nie chora.
Oj niechce się pannie uczyć, litery nie róże,
Woli panna za żorawiem latać na podwórze.
Już we włosach pełno kwiatków, a w główce pustota,
Pójdźno panna do stolika, zacznie się robota:
Będziem czytać polskie pieśni, ot tylko dopóty,
Matka umie do nich nóty, nauczy cię nóty.
Zbliżyło się młode dziewczę jak słońce w rumieńcu,
Rozłożyła swoją książkę, siadła przy młodzieńcu,
Ale nieszło jój czytanie, skroń nabiegła żyłki,
Rumieniła się jak maki, czyniła pomyłki,
Chciała wszystko wypowiedzieć, lecz jak wypowiedzieć?
Oglądała się, wzdychała, niemogła dosiedzieć,
I stanęła przed młodzieńcem, jakby przed obrazem,
Aż westchnienie się wydarło i łzy poszły razem;
Pokłoniła się do kolan i rzekła dwa słowa:
Paniczeńku najmilejszy, biednaż moja głowa!
Na co mnie się przyda, panie, to czytanie z wami,
Kiedy drobne te literki zachodzą mi łzami,
Kiedy zanim oko dojdzie od brzegu do brzegu,
Jak słoneczko na jesieni dusza mi pobiega.
Na niczem mi paniczeńku nie schodzi, nie zbywa,

I niby to ja szczęśliwa, niby nieszczęśliwa;
Od lat czterech jak dziad stary oddał mnie na łaskę,
Jak gdyby mi kto na oczy zawiązał opaskę;
Nic nie widzę, nic nie słyszę, jeno wasze słowa,
To dlatego, paniczeńku, biedna moja głowa.
Nie lepiej mnie było w chacie z dziewczętami siadać?
Hej! paniczu, paniczeńku, musiałeś mi zadać,
Co ja tylko w ciebie patrzę, jak w tęczę na niebie,
A co się to zemną stanie, jak nie będzie ciebie?
A zkadże ci, Haluś moja, taka myśl po głowie,
Zrozrzewnionem, dobrem sercem młodzieniec odpowie, —
Cicho, cicho gołąbeczko możeś ty odgadła,
Żeś mi dawno, Haluś moja, do serca przypadła.
Nie taki ja, panno moja, żebym ci zaszkodził,
Nie taki ja, serce moje, żebym ciebie zwodził;
To za roczek, za dwa roki, Halusiu kochanku,
Jak wyuczysz się na książce, wyskoczymy w tanku.
Żadnej u nas nie ma dumy, żyjemy w gromadce,
To jak przyjdzie czas po temu, pokłonim się matce.
Ale uczyć się potrzeba, w tym cała różnica...
Bo już dzisiaj nie ma chłopca i nie ma szlachcica,
Jeno temu w głowie jasno, a zaś temu ciemno,
No a teraz książka czeka, Haluś siadaj zemną.
Lecz dziewczyna nie słuchała, skoczyła na szyję,
Oczy w oczy zapatrzyła, duszę w duszę wpije,

Szczęściu swemu niewierząca wciąż pytała rzewno,
Jasiu panie — mój kochanku, ale czy to pewno?
Oj! bodajto w młodym wieku młode serce zgubić,
Oj! bodajto co dobrego pokochać, poślubić,
Oj! bodajto coraz oczy z oczyma spotykać,
Łzą się zlewać, tęsknić, śpiewać, duszą się przenikać;
Czuć jak serce ci zabiera każdy uśmiech skoczek,
Widzieć jak tam łza nabiera w kątach czarnych oczek.
Oj! szczęśliwe młode lata, lata niebios, raj,
Najszczęśliwsi zakochani, tylko nie w tym kraju;
Żaden kwiatek nie zakwitnie by go szron nie zmroził,
Żaden człek się nie urodzi by mu wróg nie groził.

Pięknie poszło dziś czytanie, wszystko jakby z płatka,
Aż ją za to całowała w głowę pani matka.
Bo niech tylko smutek zniknie, niech burza przehuczy,
Czegoż się to od kochanka dziewczę nie nauczy.
Każda dla niej dziś litera rosła jakby kwiecie,
Zda się jedna z drugą w książce złote rączki plecie.
Gdy tak szczęśni stali troje, na dworze tymczasem
Zaszczekały psy u bramy strasliwym hałasem.
Dziewczę k'onym poskoczyło, gdzie za bżowym krzakiem
Znęcały się srogie psiska nad starym żebrakiem,
Który mężnie patrząc w koło za złośliwym zwierzem,
Jako muchom tak wesoło opędzał się jeżem.

Widzieli my tego dziada, postać to nam znana,
Noga w szczudle, poszarpana niebieska sukmana,
Przy sukmanie dwa guziki cynowe się bielą,
Jako służył Polsce matce przed latami wielą,
Na guzikach polski orzeł w górę wznosi skrzydła,
Osobliwsze szczęście dziada że nie popadł w sidła.
Na odpustach nie rad siada, z dziady się nie miesza,
A gdy szczudło, mu odpada zwiąże i pośpiesza
Tak, że można na pewnika spotkać dziada w drodze,
Jak okłada polskie mile na drewnianej nodze.
Dziad ten czasem listy nasza z końca kraju w koniec,
A zowie się u młodzieży narodowy goniec.
Oj poznało młode dziewczę dziada Bednarczyka,
Poznała tę siwą brodę i wesoło krzyka:
Oj szczęśliwyż dla mnie dzionek, zawołała płocha,
I o mało nie krzyknęła: dziadku Jaś mnie kocha!
Bo i z kimże zakochany nie rad szczęścia dzielić?
Nawet brzozy, co wkrąg płaczą, muszą się weselić,
Święty Jan się cieszyć musi co stoi przy stawie,
Dowiedzą się o jój szczęściu gołębie i pawie
I to słońce nad obłokiem i ten wietrzyk lotny
I ta ziemia poorana i ten krzyż samotny.
Dziad uśmiechnął się k'dziewczynie, jak dziadek rodzony,
I głaskał ją po głowinie szczęśny, rozrzewniony...
Długie włosy złotój kosy, co się w warkocz plotą,

Świeciły mu pod palcami, jakby czyste złoto.
Cudne słońce po nich grało złocistemi blaski,
Ludzkie oko nie widziało takiej cudnej kraski.
Odleciały psy na stronę, jak zakłęte smoki,
Które dziewczę opętało anielskimi wzroki.
Dwa gołąbki podfrunęły z pod bramy na trawę,
Wyciągając szyjki srebrne, ptaszyny ciekawe.
Przed drzwiami, pod wystawą, gdzie z liśćmi topoli
Wciąż łagodny wiatr zachodni szczęśliwie swawoli,
Przed drzwiami, pod wystawą stała matka z synem.
Szczęsna dusza, co się znała z takim ziemianinem!
Zacne było powitanie, jak ludziom przystało —
Kto czci Boga i ojczyznę, poczci głowę białą,
Temci więcéj, tem gorécéj, jeśli Boże zdarzysz,
Że do dworu żołnierz przyjdzie, zmarłego towarzysz.
A dziad służył z jegomością pono w jednym pułku,
Toż ze łzami był witany w Połonieckim kółku.
Gdy się matka oddaliła z dworskimi kobiety,
Stary chwilę upatrzawszy wyjął list z kalety,
Obejrzał się w koło siebie i podał paniczu,
A powaga mu świeciła na zwiędłym obliczu.
Zda się wiedział całą sprawę, nie była mu skryta,
Toż gdy młodzian liścik czytał, on mu w oczach czyta.
W liście krótkie były słowa, małoznaczna wzmianka:
Wszystko idzie po staremu, strzeż się, będzie branka.

Wartoby rozpuścić szkółkę tę tam twoich kmieci,
Bo dziś, jutro od powiatu aniół stróż przyleci.
A wiecie wy co to branka, to krwawy podatek,
Który rok w rok Sybir bierze z nadwiślańskich chatek.
Oj rozpuścić wiejską szkółkę, oddalić dziewczynę...
Co dziewczynę, Jan odpowie, Stachu! prędzej zginę.
I skończyła się rozmowa, czy jój kto podsłuchał,
Czy to wietrzyk od dąbrowy tak smutno zadmuchał,
Czy się jego sercu zdało, sen czy przywidzenie,
Że go z boku doleciało żałosne westchnienie.

W polu cudnie naokoło, cały świat się śmieje,
Nie wie ptactwo śpiewające co się człeku dzieje.
Gdyby ptactwo to wiedziało, zagłuchłoby w polu,
Gdyby słońce to wiedziało, zeczerniałoby z bólu,
Gdyby drzewa to wiedziały, straciłyby liście,
Od smutkuby wyschła woda, co świeci srebrzyście.
A może też ptaki boże więcej od nas wiedzą,
I to słońce i te drzewa rosnące nad miedzą.
Śpiewaj, śpiewaj skowroneczku, świeć się jasna wodo,
Dusza patrzy smutnym wzrokiem, Bóg jasną przyrodą.
Człowiek myśli że to wieczne, Bóg wie że doczesne,
Temu ptasie głosy szczęsne, a ludzkie bolesne.
Szczęść wam Boże polskie łąny, polskie wody, drzewa,

Pobłogosław temu zbożu co w polu dojrzewa,
Pobłogosław Wiśle naszój, którój woda słodka,
I tój duszy niewiedzącój co ją jutro spotka. —

III.

Od poranka ciągną chmury, niebo zaciągają,
Szumią wierzby nad potokiem, k' ziemi się zginają.
Co powieje wiatr szalony, to liśćmi zamiecie,
Pokładło się w ślicznych grządkach kalinowe kwiecie.
Leżą zbite nocnym deszczem gwoździki i maki,
Poćwierkują na gałązkach rozpierschnięte ptaki.
Białe żyto leży w polu potłuczone falą,
Na pomokłych piwonijach krople się kryształą.
Tu i owdzie po niebiosach niebieskiego kawał,
W mgnieniu oka przyodziwiał chmur ciągniących nawał.
I grzmot słychać po za wioską od boru od lasu,
Otóż co się to zrobiło z pogodnego czasu. —
Wczora ślicznie zorza grały, dziś burza i słoty,
Takież to i będzie życie Haliny sieroty.
I czyż ja to Matce Bożej wianeczków nie wila,
Żebym sobie na wesele słonka nie sprosiła?
W same lato najpiękniejsze biała wiednie róża,

Kiedy serce się weseli to na niebie burza.
Kiedy niebo się odkryje, chmury z siebie zrzuci,
Biedne serce opuszczone patrzy się i smuci.
Mój Aniele Stróżu złoty porozpędzaj słoty.
A niechże téż słońko błysnie na ślubie sieroty.
Tak prosiła Halka miła niebieskiego stróża,
A tymczasem ponad wioską rosła czarna burza.
Pani Matka jój kupiła tyle wstążek krasnych,
Trzy sznurki jój darowała samych pereł jasnych.
Co przymierzy perły białe, wstążkę do warkoczy,
To patrzącój przez okienko łzą zachodzą oczy.
I takby się cieszyć rada, a serce jój gada:
Nie ciesz, nie ciesz się dziewczeczko, będzie tobie biada. —

Więc upadła przed obrazem, załamała dłonie,
Jak to zboże położone deszczem na zagonie.
Słów jój brakło, zapomniała Zdrowaś, Wierzę w Boga,
Tylko jakieś otrętwienie, tylko jakaś trwoga
Ogarniała biedne serce niewymownym strachem,
Jakby blizki piorun wisiał nad Janowym dachem.

We dworze się rozlegały różne gwary, śmiechy,
Dziewczę z ziemi się podniosło bez dusznej pociechy.
Oglądała się dokoła jak za czémś przypadłem,
Przeleżała się sama sobie stojąc przed zwierciadłem,

Jako róża w wonnym sadzie, jak lilijka biała,
Smutna Halka wyglądała jakby z grobu wstała.
W nocy jęj się kwiaty śniły i anielskie pieśni,
Jeno że to co nas czeka, nigdy nam się nie śni.
Kiedy słońce nam się przyśni, burza z snu ocyka,
Mary duszy dzień zagłuszy i wszystko poznika.
Najśliczniejsze zorza gasną w dniowej niepogodzie,
I nadzieje het popłyną, jako liść po wodzie.
Popatrzyła Halka nasza w zwierciadełko srebrne,
One wdzięki, one stroje, tak jęj dziś potrzebne.
Nigdy ona nie myślała jak się zrobić piękną,
Jeno na tę jedną chwilę gdy razem poklękną.
Mój jedyny taki świeży, a ja taka zwiędła,
Jakbym złotą nitkę życia do końca wyprzędła.
Krótka trwoga w młodem sercu, rumieniec ją skraśnił,
A w téj chwili błysk piorunu świetlicę rozjaśnił.
Przestraszona odskoczyła od zwierciadła młoda,
Wtem Jan weszedł do świetlicy, wróciła pogoda.
I wyciągnął ramion dwoje do swęj Halki złotęj,
Niechże teraz deszcze sieką, niechże huczą grzmoty.

Prędzěj, prędzěj, Haluś moja, oto twoje družki,
Do wesela dobre serca, do taneczka nóżki.
I przezedrzwi otworzone pokazał jęj w dali
Postrojonych dziewcząt troje; co wstążek, korali!

Głośnym śmiechem się zaśmiały trzy dziewczęta z wioski,
Białe na nich sukieneczki, w włosach złote kłoski.
Za druchnami matka pani złoty grzebień niesie;
Rozbijaj się teraz smutku po boru po lesie.
Otoczyły pannę młodą družki jak anioły,
Radość błyszczy jak słoneczko od twarzy wesołej.
Posadziły pannę młodą jak różę na grzędzie,
A szczebiocą by ptaszyny, jak jój piękniej będzie.

Ta podaje sukieneczkę, druga wstążek wiązkę,
Ta jój niesie rozmarynu, ta myrtu gałązkę;
Zagaduje, przyśpiewuje jaskółeczka w strzesze,
Matka złotym jój grzebieniem złoty warkocz czesze.
Wypięknili, wystroili, Halka się spojrzała,
Pogasiła drobne kwiatki śliczna lilja biała.
Ktoby poznał sierotęńkę, chłopiankę ubogą,
Same družki, co ją znają, poznać jój niemogą.
Młode družki patrzą na nią jak na wielką panią,
Niechże teraz przyjdą ludzie i niech jój przyganiają.
Kiedy takie śliczne dziewczę, że tylko zazdrościć,
Gdy za jeden uścisk słodki choćby roczek pościć.

Spłakała się pani matka, gdy jój do nóg padła,
Patrzała się dobra pani, ledwie sobą władła.
Kiedy dziewczę zawołało: o mojaś ty święta!

Ja sierotka przybłąkana ze śmiecia podjęta,
A wyście mnie przygarnęli, nieba przychyliłi,
Wyście mnie za córkę wzięli, pobłogosławili;
To jakże się ja oderwę od téj twojój nogi,
Moja boska opatrności, mój ty skarbie drogi!
Całowała ją w kolana, całowała w stopki,
A od łez się zasłaniały młode družki, chłopki.

Wtedy nasza święta pani wzięwszy ją za rękę,
Rzecz: wstańże córko moja, nie mniejże sukienkę.
To nie nasza w tém zasługa, jeno Bóg tak sprawił,
To nie moja ciebie ręka, lecz on błogosławił.
Widno żeś tak zasłużyła, byłaś dobra, zgodna,
Nikomui nie zazdrościwa, nikomu nie szkodna,
Pokochałaś polską ziemię, modliłaś się za nią,
To i pan Bóg tak uczynił, żebyś była panią.
Jeno córko moja miła zachowaj to sobie:
Żebyś drugim taką była, jak ja byłam tobie,
Moje dziecko najkochańsze, Haluś córko moja!
I tak wyszli jakby z nieba z białego pokoja.

Przeszumiwała czarna burza, chmury rzedyły zwolna,
Odezwała się na łące cicha piosnka polna.
Gdy wracali od kościołka z gromadą narodu,
Z całej Polski sprowadzone grajki grały z przodu.

Co tam było dudek wdzięcznych, co tam było basów,
Niewidzieli tego ludzie z najdawniejszych czasów.
To mi szlachcie jak się zowie, to człowiek, to dusza!
I tak cała kompanija od kościoła rusza.
Naprzód, jak się powiedziało, grajki jadą przodem,
Chłopki jadą z młodą panią, chłopci z panem młodym,
Co w sukmance granatowej z kwiatami u boku,
Jedzie sobie najszczęśliwszy, wesołego wzroku.
Ksiądz staruszek z matką jadą na osobnej furce,
Matka to raz się po synu, to spojrzę po córce.
Przyjaciele Jana pędzą po chłopsku na koniach,
Rogatywki z pawiem piórkiem, harapniki w dłoniach.
Był Tchorzewski, był Węgierski, Rozmowski, poczeiwi,
Gawarecki, Mazurkiewicz, wszyscy dziś nieżywi.
Wszyscy zmarli na wygnaniu, albo wśród szpitali,
Ci zabici od prusaków, drudzy od moskali.
Ci w francuzkiej ziemi leżą, drudzy na Sybirze,
Nad polskimi mogiłami konik w trawkach strzyże.
A co komu do tych grobów, do tych polskich kości,
Dziś po chatach szpieg moskiewski i niemiecki gości.

Przyjechali od kościoła warszawskim gościńcem,
Pod te lipy rozłożone, co stanęły wieńcem.
Dalej skrzypki, dalej basy, to mi to zabawa,
Na około woń rozsiewa pokoszona trawa,

Posiadali starzy ludzie, jak gołębie, kołem,
Pani matka coraz stawia przed bieluchnym stołem,
Za nią noszą słodkie miody, za nią noszą piwo,
Coś go człeku tego wieku nie pił jako żywo.
Kołem, kołem po za stołem gospodarze siedzą,
Szklaneczkami słodki miodek jakby złoto cedzą.

Krzeszą ognia podkóweczki, człek się rozwesela,
Dalej skrzypku przepióreczkę! drugi krzyczy, chmiela!
Ażci naraz szmer pobieży pomiędzy gromadą:
Hej chłopacy goście jadą, zdała goście jadą.
Prosim, prosim na zabawę, jeśli ludzie zacni,
A im więcej dobrych ludzi, weselić się łatwiej.
Oj! bodajby tacy goście nigdy nie postali,
Na wesele jedzie żandarm i sześciu moskali.
Zatrzymała się muzyka, tanecznice białe
Poglądały trwożnem okiem wszystkie posmutniałe.
Przed godziną pokraśniałe jak jabłuszka winne,
Teraz stoją całe białe i już takie inne,
Jakby mróz te kwiaty zwarzył, przepłókały deszcze,
Jeno pszczoła lecąc z siola coś tam brzęczy jeszcze.

Nie opowie w żadnej mowie, ni w żadnym języku,
Nie wyśpiewa w żadnej nócie, nie wykrzyczy w krzyku,
Co się w matki sercu dzieje, gdy jój dziecko wloką,

Choć rześnistych łez nie leje osłupiałe oko.
Nie opowie bólu żony, jak ją miecz przepada,
Kiedy kowal przywołany kajdany nakłada.
Ni tam krzyku, ni tam wrzawy, rozpacz cicho płynie
Serce wieki przeboleje w tój jednej godzinie.
Oj malują się tam kwiaty krasne na kobiercu,
Kaźde młotka uderzenie odzywa się w sercu.
Polskie żony, polskie siostry, nieszczęśni rodzice,
Za waszemi dziećmi gonią wrogi przez ulice.
Łzą posiany, krwią zalany każdy polski kątek,
Czyje oczy niewidziały rzezi niemowlątek?
Kto zapomni krzywdę braci na moskiewskim rządzie,
Temu mściwy Bóg zapłaci na ostatnim sądzie. —

Przywołali dwóch kowali, kowale krew nasza,
Kowal patrzy na młodzieńca wzrokiem się doprasza:
Jedno słówko, czy znak głową, a zagrają w młoty,
Serca prawe, ręce żwawe chętne do roboty.
Jedno słówko niech wyrzecz, bagnety na druzgi,
Po dziedzińcu kruk rozwlecze potrzaskane móżgi.
Jedno słówko niewypadło z uśmiechniętych ustek,
Złożył nogę na kowadło, zabrząkło śród pustek.
To i czemuż łzy przelewać, gdy wróg krew przelewa,
Na dzień cudu zemsta ludu w cichości dojrzewa.

Nie daremnie krew się leje, łza powieki pławi,
Kropla rosy niedojrzana żelazo przetrawi.

Nim żandarmi pospieszyli przetrzasnąć dom cały,
Z drobnych listów w jednej chwili został popiół biały.
Jan popalił wszystkie listy, książeczki, notatki,
Toż wesoło zwrócił czoło do stojącej matki.
Już ostatnim przepalonym listkiem wiatr kołysze,
A po próchnie, nim wiatr zdmuchnie, iskra wolność pisze.
Przelatują drobne iskry po białym popiele,
Już na dachu, niema strachu, dalej przyjaciele. . .
Snujcie dalej złotą przędzę, wróg się nic nie dowie,
Sześćcie nasze, w górę czasze, polskiej pieśni zdrowie.

Krótkie było pożegnanie i jakby bez żalu,
Żegnaj matko, żegnaj Janie, nie ciesz się moskalu.
Nie usłyszysz twoje ucho jeku, łez rozpaczy,
Rozwścieklone oko twoje trwogi nie zobaczy.
Kładź na polskie serce ucho, ty moskiewski szpiegu,
Serce równem bije tętnem, nie przyspiesz biegu.
Oj nie tobie serce badać co w niem płynie na dnie,
Jasne lica, tajemnica jak w morzu przepadnie.
Kiedy Jan się zwrócił k' żonie, moskał ruszył za nim,
I potrząsnął mu nad głową cesarskiem pisaniem.
Dalej w drogę, panie młody, trzeba z nami jechać,

Nie czas nie czas, panie polak, k' żonce się uśmiechać.
Podpiął kaszkiet dziki moskał, uderzył po szabli,
Dróga równa, dobre konie, polecim jak diabli.

Halko moja bywaj zdrowa, cicho, żadnych płaczy,
O na Boga, moja droga, bo łzy wróg zobaczy.
Nic niewiedzą, niewyśledzą, toż i rychło może
Zaśmieje się dawne szczęście w naszym starym dworze,
Cicho, cicho, gołąbeczko, wszaké to czas niewieczny.
Na te słowa nieszczęśliwą porwał płacz serdeczny.
Poczęła się śmiać tak głośno, wyprężona cała,
Jakby cała ziemia wkoło z boleści się śmiała,
Jakby wszystkie ciemne drzewa uderzyły śmiechem,
Śmiech rozlegał się po dworze najsmutniejszym echem.
Śmiech straszliwy, przeraźliwy, aż powstają włosy,
A po śmiechu jęk okrutny i płacz w niebogłосy.
Otoczyły druchny młodą, poniosły na łóżko,
Czas do ślubu, czas do ślubu, prowadźże mnie drużko.
Otoczyli muzykanty na łożu leżącą,
I czemuż jój krakowiakiem żalu nie roztrąca?...
Oj nie tobie żalować co w tym bżym na dach.

Płacz w świetlicy panny młodej przyciszył się zwolna,
I zasnęła snem kamiennym, jak ptaszyna polna.
Czy omdlała, czy zasnęła, czy skonała może,
Bo tak leży sztywna, biała, rzucona na łożo.

Oj za małoś ty zaznała nędzy biedne dziecie,
Oj za małoś ty zaznała nędzy na tym świecie.
Zanim dusza się wywlecze z nieszczęsnego cielska,
Musi stać się od łez czysta, niebieska, anielska.

Cisza wkoło, milczy sioło, sercu żyć niechętno,
Gdzie się spojrzysz w szarém polu jak na trumnie smętno.
Pocztarz w trąbkę grzmi blaszaną i konie zacina,
A pocztarską pieśń na trąbce powtarza dolina.
Bryczka leci po gościńcu, chłopskie wozy dzieli,
Jak szatany polecieeli z nim do cytadeli.

I czyjaż to biała szata, jakby skrzydło biała,
Ode wzgórką za jadącym więźniem powiewała?
I czyjaż to mu pociecha w téj chwili potrzebna,
I czyjaż to wyciągnięta k'niemu rączka srebrna?
Czy to anioł polskiej ziemi co mogilek strzeże,
Nad krzyżami polskich dziątek śpiewając pacierze,
Czy to jego miła Halka tak ku niemu mruga?
Wyschła postać pochyłona, suknia na niéj długa. . .
Ni to anioł, ni to żona, jeno matka siwa,
Ręce w górę podniesione, włosy wiatr rozrywa.
Ode wzgórze wciąż się bieli wkoło cisza senna,
Anioł bólu, w głuchém polu stoi jak kamienna.

IV.

Słońce wschodzi z po za lasu, doliny wygrzewa,
 Szczęśliwe te szare pola, szczęśliwe te drzewa.
 Jak to onym dobrze w słońcu, jak się to rozmaga
 Ona brzoza pękająca, ona ziemia naga.
 Wierchem już się trawa puszcza, jeży się jak szczotka,
 Po téj zimie nieszczęśliwej wraca wiosna słodka.
 Słońce świeci dobrotliwie, lecz tam nie przecieka,
 Gdzieby było miłosierdziem dla biednego człeka.
 Nie zachodzi w czarne ściany onój głuchój wieży,
 Gdzie w kajdany okowany smutny młodzian leży.
 Dwa lata go dzieli krata od białego świata,
 Bez słoneczka, bez słóweczka, oj długieź to lata.
 Sam do siebie gadać musi, by nie oghuchł w głuszy,
 Żebyż jaki głos ze świata, chociażby brzęk muszy.
 Poléc, poléc muszko szara, jest ktoś co cię prosi,
 Co na rękach i na nogach ciężki łańcuch nosi.
 Poléc, poléc muszko szara, złego ci nie zada,

Napijesz się onój wody co mu z oczu spada,
A ty czarna jaskółeczko szczebiotko niegodna,
Nie kręć mi się nad rzeczulką, nie zagłądaj do dna.
Poleć, poleć jaskółeczko pod to okno z kratą,
A przelatuj z nieszczęśliwym aby jedno lato.
Każde rade chwycić szczęścia choć aby okruszek,
Szara muszka szuka miodu, jaskółeczka muszek,
Cały świat za szczęściem goni, od biedy ucieka,
Prócz jednego tylko serca dobrego człowieka.

Na dnie wieży młodzian leży na przegniłej słomie,
I jakby mu już odeszła tęsknota po domie,
I jakby mu już przegrały nadziei piosenki,
Jakby mu już spowszedniały wszystkie świata wdzięki,
Nie spogląda wkoło siebie, nie gada, nie wzdycha,
Jak ta płonka kalinowa co w polu usycha.
Długa broda mu urosła po kolana, czarna,
Ręce wyschły jak te kije do młócenia ziarna.
Noc ponura naokoło, nieprzespana, długa,
Przez okienko kratowane blada gwiazdka mruga.
Czasem miesiąc biały stanie wypatrzy swe wzroki,
I przesunie cichy, cały, w cichości głębokiej.
Na więzienia, na cierpienia wejrzy okiem smutnem,
I zakryje oczy chmurą jak niewiasta płótnem.
Za falami, za wodami szumią ciemne puszcze,

Za murami, za krzakami sina Wisła pluszcze.
Za wodami, za falami w księżycznej jasności
Wiatr porusza nad wzgórkami pragskich dzieci kości.
Śpij spokojnie, bracie miły, sen smutki łagodzi,
Co tam będziesz myślał o tém, że gdzieś słońce wschodzi.
Masz ty w sobie takie słonko, co się wiecznie błyszczy,
Słonka twego prześlicznego sam pan Bóg niezniszczy.
Śpij szczęśliwie, nim na niwie zabłyśnie poranek,
Zanim brzęknie w polu pięknie piosnka nadwiślanek.
Zimą, latem twoim światem cztery głuche ściany,
W zimie śniegiem Wisły brzegiem cały kraj zawiany.
Kiedy Wisła w biegu stanie, twardym lodem skrzepnie,
Kruk zagłąda w twe mieszkanie, skrzydła z śniegu strzepnie.
Hej cóż to tam za muzyka, co ją słychać z dala;
Czy to gruby mur przenika nadwiślańska fala?
Co się nie śni, pieśń po pieśni do duszy się wlewa,
Hej żebyż to widzieć można, kto tak pięknie śpiewa.
Czy po lesie głos się niesie, po rosie, po rosie
Piosnka znana wiatrem wiana, znam cię śliczny głosie.
Czekaj, czekaj, nie uciekaj na dalekie wzgórze,
Znam te głosy z mokrej rosy, powtórzę, powtórzę.
Coraz bliżej, coraz hyżej, cudneż weselisko,
Jak za drzwiami brzmi pieśniami tak blisko, tak blisko.
Młodzian ze snu obudzony porwie się z pościeli,
Przed oczyma murów niema, jasny świat się bieli,

Słońce bije w samo czoło, zda się nad sufitem,
Otoczył go Bóg w około najczystszym błękitem.
Jego skroni wdzięcznie dzwoni złotych ptaków wieniec,
Woń zawiewa a lud śpiewa piosnkę wiejskich żeniec.
Oczom swoim niedowierza, postać w złotój lamie
Jak pod duchną dłoń leciuchną składa mu na ramię.
Nad nią w górze, jakby w chmurze, moc srebrnych gołębi,
Położyła dłoń na ramię a serce mu ziębi...
Chwycił szatę jęj złocistą, w rękach niezostała,
Jakby z złotój chmurki tkana, w wietrze się rozwiała.
Spojrzy w oczy blask uroczy, nad nim drugie słońko,
Matki skronie uwieńczone krwawych róż koronką.
Matko moja, postać twoja znika mi już znika,
Słońca smugi, twój płaszcz długi i pieśń i muzyka.

Krótko trwała jasna chwała, ciężki mrok na jawie,
Koło wieży krzyk żołnierzy, krzyczą jak żórawie. —

V.

Witaj witaj błogie lato, pomnę ciebie lato,
 Gdy rzeźwiące weszło słońce nad rolnika chatą:
 Co to było wesołości w każdym kątku kraju,
 Na zagonie, na wód łonie i w zielonym gaju.
 Ptaki piękniej szczebiotały przyspiewując z góry,
 Złote piosnki się pisały złocistemi pióry,
 I na każdej ludzkiej twarzy pociecha jaśniała,
 Na źrenicach się błyszczała, w oczach przewijała;
 Było wtedy patrzeć na co od Dniepru do Bugu,
 Po wodach się rozbiła jedna piosnka długa,
 Wtórzyły ję po galarach te flisowskie wiosła,
 I do morza piosnka hoża po wodzie się niosła.
 Jeszcze Polska nie zginęła, każde usto szepce,
 Od biedaka co gościńce bosą nogą depce,
 Aż do dworu szlacheckiego, do białych kamienic.
 Oj błyszczała Polska nasza z rozjaśnionych źrenic,
 Każdy sobie szczęście wróżył, że już w progu stoi,

Gdzie wy bracia mój młodości towarzysze moi?
Gdzie wy moje sny pieszczone, gdzie ty polska chato,
Jakżeś prędko przeminęło moje rajskie lato!
Znowu cicho, znowu głucho, w narodzie rozterka,
Ledwie ledwie że się śmieje nadziei iskierka.
Na mogiłach drogiej braci w liście wiatr szeleszcze,
Latoż moje, złote lato przyśnij mi się jeszcze.

Byłci wtedy wielki żołnierz, szkoda że go niema,
Całą Polskę przebiegało jedno imie Bema.
Zdawało się że to imie z deszczem letnim spada,
Zdawało się że to imie martwa ziemia gada,
Że je szepcą liście drzewa, smug smugu podawa,
Że nim szmerze rozbarwiona po dolinach trawa.
Z latem nowem nad Krakowem rozbłysły się zorza
Śrebrna, biała zstępowała jakaś radość boża,
A od Węgier roznosiły skrzypki i multanki,
Polak, węgier dwa bratanki do boju, do szklanki.
Takie to niedawne czasy a zda się pół wieku,
Oj bo długo czas się wlecze takiemu co czeka.

Hej ty Bemie, polski wodzu, złota gwiazdka zbladła,
Czemu twoja polska dusza od nieba odpadła?
Niemiałeś ty polskiej wiary, nie uczyłeś wiary,
I popadłeś polski wodzu między błędne mary.

Lepiej było zginać tobie, zagrzebać się w ziemię,
Jak turecką przyjąć wiarę, oj Bemież ty Bemie,
Nieznałeś ty polskich ludzi silnych na niedolę,
Opuściłeś naszą wiarę, nasze złote pole,
Zbłąkało się serce twoje w godzinie rozpaczey,
Toć już pan Bóg miłosierny pewnie ci przebaczy.
Tylko zboże potracone co wschodziło pięknie,
I twe imie w chałup dymie na lirze nie brzęknie,
Boś je w naszych sercach zmieszał z tureckiem pogaństwem,
W oczach dzieci łza nie świeci za twojém hetmaństwem...

Car się wyląkł twojój mocy, wyląkł twojój sławy,
I przyleciał car moskiewski jak kruk do Warszawy.
Zapatrzyła się ojczyzna, słowa rzec nieśmiała,
I na wodze na swój drodze patrzała, czekała.
Wyglądali starce biali przed progami chaty,
Rychło śmiały orzeł biały wzleci nad Karpaty.
Za Tatrami orzeł latał, niewzleciał nad skały,
Aż spadł w ziemię, oj ty Bemie, oj ty orle biały....

Gdy zobaczył car moskiewski, że orzeł nie wzłata,
Zebrał wojsko niezliczone z wszystkich końców świata,
I ciągnęły czarne kruki przeciw orłu w pęcie,
Znowu zima, orła niema i po naszym świecie....

Po gościńcach ciągną tłumy baszkirów, kałmuków,
Nad krukami moskiewskiemii ciągną stada kruków,
Dudnią działa, Polska cała żołďactwem pokryta,
Podeptane polskie zboże, pszenice i żyta.
Ciągnie moskał, za moskalem by czarna żałoba,
Przez ojczyznę się przewłóczy nędza, głód, choroba;
Chaty one spustoszone, krzyk i pomsta boża,
Kruk moskiewski rozdarł gardło od morza do morza,
A w Krakowie, przed kościołem, gdzie świętości nasze,
Dziki moskał na polaków poostrza pałasze.

Ostrzą zbójcy szable swoje, lecz są między nimi,
Których moskał pozabierał od chaty, od ziemi.
Kto się wpatrzy w blade lica, których smutek strzeże,
Taki snadnie z lica zgadnie co to za żołnierze.
Łzy ich mętne, oczy smętne, boleść nad powieką,
Niosąc brzemię, depcą ziemię, jak maryl się wleką,
Pod Moskiewskim karabinem pada jak pod krzyżem.
Zmówcież pacierz, polskie dzieci, za takim żołnierzem.
Niebędzie on po chałupach nieszczęścia roznosił,
Niebędzie on z ludźmi gadał, niebędzie on prosił,
Bo mu troska z biednych oczu wygląda żałośnie,
Gdy chleb polski weźmie w usta, to mu w ustach rośnie.

Nie pod każdym burym płaszczem siedzi dusza bura ;

Spojrzyj ino jak łyzy płyną, jak cięży ta skóra;
Zrzuciłby on ten karabin i ten płaszcz ze siebie,
Gdyby na nas miłosierny wejrzał Bóg na niebie.
Po niebiosach smutnym wzrokiem jak męczennik wodzi,
Jasne słońce codziem wschodzi, aniół nieprzychodzi.

Krwawe życie, straszne życie a kto je wypowie?
Ciężkiej doli, naszej doli niewygada w słowie.
Ciężka dola, polska dola łyzy poruszy w głazie,
Łzą posiane, krwią polane góry na Kaukazie.
Orzeł kuje ostym dzióbem na polskim czerepie,
Znam was groby usypane w orenburskim stepie.
Czasem zda się świtać zorza śmierci naszych katów,
Gdy piekielne klątwy rykną pomarzętych żołdatów.
Wolno klątwy rzucić czerni nad wolnych ruiną,
Klną przekłęci niewolnicy i za cara giną. —

Przeszedł moskał przez Karpaty na węgierską stronę,
Plon rólnika z ziemi znika, w nocy widać łonę.
Cisza po téj gór połowie, lecz gdy wiatr powieje,
Słychać jak tam gospodarzą moskiewscy złodzieje.
Lecą lecą ciężkie dymy od węgierskich równi,
W galicyjskiem polu słychać zapach świeżych głowni.

W jedno rano rozkaz dano, wstrzymały się szyki,

Węgry stoją nad Dunajem, rabiata na sztyki!
Leci złoty pułk konnicy, jak gradowa chmura,
Eljen! Węgry z jednej strony, z drugiej hura! hura!
Świsły szable mężnych węgrows, poszedł krzyk w niebiosy,
Stoczyły się łby moskiewskie jak pod kosą kłosy.
Odpadają jedném cięciem karki od tułowi,
Przelecieli dzielni węgry, lecą mężowie nowi;
Chorągiewki krasno białe furknęły jak ptacy,
Lica jasne, czapki krasne, polacy, polacy!
Ścisnęła się w czworoboki moskiewska piechota,
Zahuczały ciężkie działa, ziemia drży od grzmota.
Od węgierskich armat huczą straszne strzały celne,
W moskwy lesie kula niesie wyręby piekielne.
Po szeregach krzyczą wodze: luzuj, luzuj skoro!
Zmarłych trupy wojsko depce, rannych w tyły biorą.
Ktoby spojrzeć chłodném okiem, jak się biją wściekle,
Ktoby patrzeć na moskali, myślałby że w piekle,
Taka wściekłość na ich twarzach albo trwoga biała.
Ten co strzelił, ledwie strzelił, chwieje się i pada.
Oczy zwierza sen śmiertelny, ręka ziemię chwyta,
Podnosi się by upadać, konający zgrzyta. —
W owym tłumie rozwścieklonym, lub od trwogi drżącym,
Czyjeż lica blask oświeca jakby cudném słońcem?
Nie poznajesz przyjaciela? spiesz się zajrzeć w oczy,
Nim te oczy tobie znane nagła śmierć zamroczy.

Spiesz się, spiesz się przyjacielu, spojrzysz jak się składa,
Nimeś zoczył, sen go zmroczył, chwieje się i pada.
Uśmiech usta mu okraślił, padł karabin z ręki,
I nim wieczny sen go zgasił, krzyknął: Bogu dzięki!
A z tém słowem piękna dusza od ciała uciekła,
Zginął polak nieszczęśliwy, dusza wyszła z piekła.
Lećże teraz duszo polska, cicha duszo święta,
Anielskimi pióreczkami z ciała wyciągnięta.

Nad doliną zorza świeci, cisza w koło senna,
Gdzieś ku polskiej stronie leci złota gwiazdka dzienna.
Gdzie nad wodą ponad brzegiem stały wrogów szyki,
Stoją dzielnym tam szeregiem Węgier wojownicy.
Rozstawione w polu straże, widno z szarych łąnów,
Cichy wietrzyk z pola dmucha w proporce hułanów;
Jeszcze Polska nie zginęła, słyhać pieśń na błoni,
Szczęsny komu ta piosenka w wolném polu dzwoni.
Szczęsny polak co ją słyszy nad wrogów upadkiem,
Szczęsny, kto był takiej chwili choć raz w życiu świadkiem.
Od zagonu do zagonu hułani się włóczą,
Przeglądając po tornistrach czém się wrogi juczą.
Leży żołnierz na zagonie, krew wyciekła z rany,
Obrazek mu Matki Boskiej widać z pod sukmany,
Na blasze się pozostała reszta złota blasku,
Oj poznali nasi bracia brata po obrazku.

Smutném okiem spoglądała dzielna wiara nasza,
Wyciągnęli mu ładunki bracia z patrontasza,
Wyciągnęli, popatrzyli na ładunki one,
Proch posypał się z papieru, kule odgryzione,
Znać ślepemi ładunkami do swój braci strzelał,
Zginał, zginał polak prawy, bratniej krwi nie przelał.
Żal serdeczny objął dzielną polską naszą wiarę,
Popatrzeli na żołnierza, na smutną ofiarę.
Chłodne czoło wietrzyk gładzi, szmat na piersiach wzrusza,
Zostało się polskie ciało, poszła polska dusza....

Któż to zdąża z poza wzgórze towarzysze mili?
Czyjaż się to postać biała nad trupami chyli?
Czyja postać od zagona zdąża do zagona,
Markietanka, czy kochanka, czy żołnierska żona?
Hej to nasza Halka młoda patrzy w trupie lica,
Zwiądła lica jój jagoda, włosy wiatr rozchwycą.
Przybliżyła się nieśmiało do polskich żołnierzy,
Gdzie jój miły Jan kochany cały we krwi leży.
Załamala białe dłonie i upadła krzyżem,
Nad polakiem nieszczęśliwym, moskiewskim żołnierzem.
Nieszczęśliważ moja dola, oj biednaż ja młoda,
Niech się zbliżę k' czystej wodzie, wyschnie czysta woda.

Komuż to tak smutno grają na trąbach trębacze?

Nad kimże to polska wiara łązy rzewnemi płacze?
Komuż, komuż postawili krzyż cierniem obwity?
Pod mogiłą leży w polu męczennik zabity;
Słońce wschodzi nad mogiłą, wiatr na groby leci,
Polskie serce się świeciło jak to słońce świeci;
Zginał polak nieszczęśliwy wśród wrogów bez chwały,
Białe słońce patrzy z góry, jakby aniół biały.
Skowroneczek wzłata w górę, nad mogiłą nóci,
Kędyż takie ludzkie serce co się nie zasmaci.

Pochwyliła Halka ziemi, do nieba podniosła,
Jeśli ciebie ja zapomnę, bodajm w ziemię wrosła.
Poprzysięgła Halka młoda, Bóg przysięgi słucha,
Ponad głowy krzyż brzozowy i mogiła głucha.

VI.

Przemijają szybko lata w szczęściu czy w niedoli,
Długo boli ludzkie serce, lecz w końcu przeboli;
Czasem zda się że przeboli straszny palec Boży,
Wiatr powieje od mogiły, rana się otworzy.
Oj nie śpiewaj smutna duszo, nie dowierzaj sobie,
W serce wryty ból ukryty skończy się aż w grobie. —
Powróciła Halka młoda między swoich ludzi,
Cudne lice wzrok zachwyca, miłość w sercu budzi.
Przygarnęli biedną wdowę, chatę jej otwarli,
Nędzę biedy opatrzyli, z oczu łzy otarli,
To i jakże wdzięczne serce wdzięczność ma utracić,
To i jakże dobre serce sercem nie zapłacić?
Uśmiechnęła się Halina serce drgnęło żarem,
Związała się dusza cała jakby jakimś czarem,
Wyciągnęła k' szczęściu dłonie i w téj samej dobie,
Jakby anioł ją uderzył siedzący na grobie,
Jakby jego skrzydło złote po duszy powiało,
Zapatrzyła się na ludzi twarzą skamieniałą;

Cudne światło w oczach zgasło co świeciło we sny,
Tylko zarzy się na twarzy jój uśmiech bolesny,
Tylko jedno cichym głosem dniem i nocą woła:
Niegdyś żywa ja szczęśliwa kochałam anioła.
Na pytania dobrych ludzi wciąż im jedno gada:
Ja anioła pokochała, to biadaż mnie biada...
Tam daleko na mogile zgasło moje zorze,
Kto był szczęsny choć na chwilę zapomnieć nie może.
Kto wyciągnie do niej rękę nie pomyka ręki,
I w nagrodę śpiewa młode dawnych lat piosenki:
Danaż moja dana . . . i piosenkę utnie,
I spogląda tak wesoło, a tak strasznie smutnie,
I wraz zleca łązy rzesiste i ciężkie westchnienia,
A tak martwo jak nie z piersi, jak gdyby z kamienia.
Jednej nocy burza grzmiała, srogim gradem siekła,
Biedna Halka oszalała, od ludzi uciekła.
Próżno za nią rozesłali po gościńcach gońce,
Pustą izbę biednej wdowy oświeciło słońce.
W niepogodę szczęście błysło, zgasło w niepogodę,
I przepadła sierotęńka jakby kamień w wodę.

Cichym krajem nad Dunajem stary lirnik kroczy,
W Dunaj lśniący, w strumień rwący wpatrzył smutne oczy.
Środkiem wody płynie dziewczę w sukieneczce białej,
Kalinowy liść z jój głowy fale oberwały,

Białe roże płyną za nią oderwane falą,
Szare ptaszki nad umarłą w powietrzu się żalą,
Zimne oczy fala moczy w słonecznej pogodzie,
Popłynęło młode dziewczę jak listek po wodzie.

Niema Halki, niema Jana, szumi wróg po kraju,
Wietrzyk leci, słońce świeci po modrym Dunaju,
W polu piosnka smutna dzwoni od brzegu do brzegu,
Po pagórkach się rozbija, po wodzie rozlega,
Oj pogonia ich pogonia z powrozem na szyi,
Już im więcej nie zadzwonią dzwony Kołomyi.

Zakończenie.

Stanął lirnik mazowiecki na łomnickiej górze,
Rozwiała się siwa broda w owiej siwej chmurze.
A co po mnie, co po tobie liro mazowiecka,
Coś mi w życiu przygrywała od małego dziecka.
Liro moja, polskiej pieśni już ja nie zanucę,
Szumi Dunaj pod górą, już cię chyba rzucę.
Dziecko moje ukochane idź już precz odemnie,
Niepomogą twoje żale, daremnie, daremnie!
Niech cię aby raz ostatni do serca przygarnę,
Nim polecisz, liro moja, na te fale czarne.

Hej ty dziadu, słyhać głosy nad szarą Łomnicą,
Karpacki to krzyczy orzeł z karpacką orlicą,

Co po jasnym lecą niebie; cień od skrzydeł pada;
Zakrzyczały orły siwe na starego dziada:
A czy wiesz ty przeklętniku co się w sercach dzieje?
A straconaż twoja dusza? gdyś stracił nadzieję.

Polskie głosy, szumne głosy, jęknął dziad ubogi,
Wkoło góry, skały, chmury i dalekie drogi...
Orły moje, nędze, znoje, mnie już kończyć trzeba,
Latacie wy po niebiosiach, dajcież kawał nieba...
Nie chcę chleba, nie chcę soli, ni żadnej jałmużny,
Jeno proszę o spoczynek ubogi podróżny.
Nad szaremi Karpatami polskie orły kraczą,
Nie zamkną się oczy twoje, aż Polskę zobaczą.

Polska! Polska! miły Boże! oko we łzach staje,
Schylił ucho do lirenki, lira brzęk wydaje.
Złożył palce na klawiszach a karpackie skały
Jeszcze Polska nie zginęła, hucznie odebrzmiały.
Zaśpiewały niskie chaty w podkarpackiej kniei,
Niema żalu bez pociechy, życia bez nadziei;
Za młodziana, za dziewczynę westchnie lirnik z duszy,
I ojczystą niesie lirę pod szalas pastuszy.
Szumią świerki nad Dunajem, szumią nad szalasem
Została się polska lira z chłopem skotopasem.









Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000465220



I 254054